

## Przepis

Jak napisać książkę, aby była ciekawa? Wykreować interesujący świat. To znaczy opisać go jak najbardziej trójwymiarowo? Nie tylko. Trudno samym spojrzeniem przyciągnąć czytelnika. On lubi postaci. Przepada za konfliktami. I to nie tylko tymi wewnętrznymi bohatera. Generalnie uwielbia ludzkie wzloty i upadki. Podgląda je zafascynowany. Delektuje się nimi. Powoli. Bez pośpiechu. Jak niedzielnym późnym śniadaniem. I to od samego początku. Wpierw jajko sadzone na patelni. Kolejna strona. Popatrzeć, jak się rozbryzguje i syczy na gorącym masełku... Nawet nie zauważy, że to już trzecia kartka! Przypali się czy nie? Ósma karta. oj, grzanki nie poczekały cierpliwie! Ale z drugiej strony, rumiane, kolorem przypominające porządną gorzką czekoladę z Kolumbii, też mogą być. Dziesiąta. A jajeczko? No, już prawie, prawie. Jeszcze tylko szczypta... szczypiorku. Piętnasta. Talerzyk pod filiżankę z kawką i można zaczynać! Dwudziesta. szlag by to! Miast na talerzu, na podłodze wylądowało. Ale on kocha takie niespodziewane zwroty akcji.

A sztukę jak naskrobać? Nie, już nie używa się gęsich piór. Może więc wystukać? Też niedobrze. Dudniło podczas pisania na maszynie, a teraz, jak to nazwać? Przecież klawisz laptopa wystarczy musnąć, aby na ekranie pokazała się litera. Jak więc dopieścić sztukę? Czy jej bohater różni się od tego książkowego? Tak generalnie, to nie za bardzo. Powtarzamy procedurę sadzenia i podglądania. Może nieco bardziej uważamy przy przenoszeniu na talerz. Pierwszy kęs. Sól. Gdzie jest solniczka? Ja rozumiem dieta bezsolna, ale jajko bez białych grudeczek z Wieliczki? Nigdy! W książce wszystko jest możliwe, ale w sztuce już nie. Jeżeli oczywiście myślimy o jej wystawieniu. O owacjach na stojąco! Wtedy ona musi być pokazywalna. W filmie to dużo łatwiejsze. Jak sadzone podczas odwiedzin u babci. Albo jak robi na miękko i poda z twoją srebrną łyżeczką, którą pamiętasz... odkąd pamiętasz. i koniecznie winna być otwarta. Nie, nie jak garnek z kapustą, której zapach czujesz już na parterze, mimo że bigos pichci sąsiadka z dziewiątego. Postępowanie bohatera musi skłaniać do zastanowienia. Widz powinien się nad nim pochylić. Niczym nad lampką dobrego wina. I niekoniecznie jakiegoś czterystuletniego z piwniczki ponurego zamku w wietrznej dani. U nas też dają koncesję. Przykład? Proszę bardzo.

*W imię ojca i syna* Szymona Bogacza. Jedenastoletnie. dobrze przechowywane, nic nie straciło, a nawet zyskało z czasem. Bukiet? Rodzinny. Ale nie tylko polski. Nawet widz przyzwyczajony do wytrawnego Bordeaux posmakuje zaciekawiony. Popatrzy pod światło na kolor. Co zobaczy przez napętnioną lampkę?

Koszmary senne. Mary. i wszystko jakby znajome. Bohater również. Na dodatek ma na imię: JA. Zbyt banalnie? Niekoniecznie. Pierwszy łyk ma często zasadnicze znaczenie w podjęciu decyzji, czy po raz kolejny zamoczymy usta w nektarze Dionizosa. Mnie czasami takie zwidy również przesładują, choć w omawianym przykładzie są typowo męskie. JA porównuje ojca do Boga. Kiedy wpadł na ten pomysł? W dzieciństwie? Ale on widzi swojego boga siedzącego w... dmuchanym fotelu i pomiętym garniturze. Dobrze! Zachęcona, podnoszę do ust lampkę po raz kolejny.

Okazuje się, że to był tylko sen. Można odetchnąć, ale nie na długo. Po chwili JA paraliżuje wiadomość, że to już koniec. Od teraz, ojciec będzie już tylko i wyłącznie zjawą. Umarł. Czy to go uspokaja? Przystają nawiedzać go zmyry? Nie. Przeciwnie! Autor podsuwa nam kolejny haust. Tym razem tragiczny. I następny. Komiczny! I taką przeplatankę smaków mamy już do końca sztuki. Groteskę w czystej formie.

Bohater jedzie na prowincję, pochować ojca. Wraca w rodzinne strony nie tylko fizycznie. Jego umysł przywołuje wspomnienia. Nie tylko wesole, ale i gorzkie. Dramaturg serwuje nam tradycyjną wieloskładnikową sałatkę warzywną. Czasami trafiamy na ostry, grubo zmielony pieprz. Na przykład wspominki nocnych igraszek miłosnych rodziców w przyczepie kempingowej czy niepowtarzalny moment poczęcia ich pierworodnego. Niekiedy trafia nam się słodkie jabłuszko – piękna historia próby naśladowania rodziciela, podczas wyjazdu ojca w delegację. Mamy nieudaną inicjację seksualną i nieumiejętność założenia pierwszej prezerwatywy. A wszystko to wymieszane z

majonezem z prawdziwych jajek! Własnoręcznie zrobionym przez Kochającą Matkę, choć kupionym w sklepie. I to wcale nie paradoks, tylko przenośnia.

Spróbujmy jednak odsunąć się nieco od tego suto zastawionego stołu i spojrzeć z dystansu. Bohater przezwycięża kompleks Edypa, zabawnie pokazany przez próby golenia się kilkuletniego chłopca, czy też zastępowania ojca w łóżu małżeńskim. Kończy się to wielkim rozczarowaniem, gdyż bycie dorosłym ma swoją cenę – informuje go rodzic.

Nieoczekiwanie, JA próbuje dokończyć dawne rozmowy z ojcem. Wspomina lania, które od niego dostawał, przelicza złe uczynki na razy. Wychowywał się w patologicznej rodzinie? Niekoniecznie. W każdym razie on tak nie uważa. Takie były czasy. Takie zwyczaje ówczesnej społeczności. Dziadek również dawał pasy, co z kolei przywołuje z meandrów pamięci z pełnym zrozumieniem (stałe martwy) ojciec. Och, opróżniłoby się zawartość flaszeczki... Wtedy na pewno dialog potoczyłby się gładziej. Może też wyjaśniłoby się w końcu, czy ojciec zdominował syna, czy to raczej syn był niezwykle zawzięty. Taka rodzinna walka na (czasami zbyt cicho wypowiedziane) argumenty.

I jeszcze Mama. Nadopiekuńcza. Zawsze traktująca swojego potomka jak dziecko („Na pewno jest głodny! Musi zjeść!”), niezależnie od tego, ile wiosen przeżył. Czy w końcu uda jej się odciąć pępówinę? Przezwyciężyć syndrom pustego gniazda? Na te pytania omawiany tekst nie daje odpowiedzi. Relacje między dziećmi i rodzicami są jakże często trudne. Skomplikowane. Zwłaszcza, gdy potomstwo dorasta. Wtedy zaczyna się okres buntu, samookreślenia się i niezależnych decyzji, które mogą zaważyć na całym życiu.

Jutro kolejne przedstawienie *W imię ojca i syna*, a ja gram w nim Matkę.

– „Dlaczego wyjechałeś?!” – pytam syna przytłumionym głosem.

Przywołuję tę niezwykle trudną scenę nie tylko słowami. Utrwalam sobie także i gesty. Muszę odstawić żelazko (właśnie nadrabiam zaległości w prasowaniu), ponieważ potrzebuję do tego wolnej dłoni.

– „Dlaczego ty wyjechałeś?!” – ponawiam pytanie, podkreślając „ty” i nieśmiało kierując w stronę JA palec wskazujący.

Zaczynam bombardować syna oskarżeniami. Za każdym razem ten matczyzny palec, mimo że drży mocniej, wskazuje coraz bardziej zdecydowanie. Początkowa skupiona w nim wielka niemoc, przekształca się w gorycz, a następnie w nigdy niewypowiedzianą, a przez to skumulowaną złość. Pierwszy raz w życiu tracę panowanie nad sobą, ale przecież umarł mój mąż!

– „Trzeba było zostać, wziąć tę pracę, którą ci załatwił, rozpocząć normalne życie, a nie robić te swoje głupoty! Dziecinne głupoty!” – gramię dalej, strzelając niewidzialnymi błyskawicami z palca. Długo szukałam gestu, który wspomógłby ten trudny tekst, wypowiedziany w ataku szału, w który właśnie wpadam na scenie.

– „Zabiłeś Go!” – kamienuję pierworodnego w rozpacz. Na ile ten zarzut jest uzasadniony, jeżeli potomek mieszkał setki kilometrów od rodzinnego domu? Czyjaś nieobecność ma większą moc sprawczą niż codzienne zderzenia?

Jest tam jeszcze i dodatkowy wątek. Zmiana środowiska. Przeprowadzka z prowincji do wielkiego świata. To nie tylko zamiana schabowego z kapustą na sushi i sałatkę z wodorostów. Trzeba jeszcze nauczyć się jeść pałeczkami. Nie wygląda na to, aby szkołę taką można było przejść bezboleśnie, choć pociągała niezmiernie. JA całym sobą chłonie ten nowy smak. Rodzice natomiast nie potrafią zrozumieć: dlaczego? Cóż może być piękniejszego niż rodzinna wieś lub miasteczko pełne wspomnień dziecięcych zabaw? Czy podążanie za marzeniami może być życiowym błędem, a dążenie do samorealizacji zawsze kończy się klęską?

Rodzinna tragikomedia pokazuje różne postaci i jakże odmienne punkty widzenia. JA nie jest rycerzem odważnie stawiającym opór najeźdźcom. Nie jest też Don Kichotem walczącym z wiatrakami. Jest bohaterem raczej pospolitym, ale wyrazistym. Z krwi i kości. Jednym z chłopaków

z sąsiedztwa, który próbuje zrealizować swoje marzenia. Nie jest idealny, ale nie ma go też za co potępiać. Czasami boi się, ale dzielnie stara się to przezwyciężyć. Dzięki niemu, na stronach dramatu, nieco oswajamy się z tabu śmierci. Słyszymy wszystko (według autora), co syn chciałby powiedzieć po śmierci ojca, ale boi się odezwać. To prawdziwa stypa, ale uczestniczymy w niej z niewymuszonym uśmiechem. I jak nie polubić takiego przepisu?

Gramy to już chyba po raz dziesiąty (po niezliczonych próbach), a ja ciągle mam te same wątpliwości. Teatr sprzyja refleksji inaczej niż samodzielnie przeczytany tekst. Przedstawienie teatralne to próba przekonania widza do odczytań tekstu dokonanych przez jego realizatorów. W magicznej scenerii Teatru Piwnica przy Krypcie Zamku Książąt Pomorskich, każdego wieczoru ten rodzinny dramat ożywa nieco inaczej. To nie film, zmontowany raz na zawsze. Tu przychodzą żywi ludzie i choć starają się odseparować prywatne przeżycia od tych przedstawianych na scenie, nie jest to możliwe. A widzowie? Przecież oni również nie pojawiają się z próżni.

Kameralne spektakle i nieduże teatry są wyjątkowe. W nich widzi się strużkę potu spływającą po policzku aktora, a on czuje zapach perfum kobiety z pierwszego rzędu krzesel. I my szczecinianie, od wielu lat, kochamy to niezmiennie. Jednym z przykładów tej miłości jest *Kontrapunkt*, czyli wiosenny Przegląd Teatrów Małych Form. Ten (jeden z najstarszych, największych i najważniejszych festiwali teatralnych w Polsce) od 1966 roku (!) przyciąga przedstawicieli najróżniejszych nurtów i (nie tylko krajowych) trup teatralnych. A wtedy, panoszą się ci zakręceni ludzie po mieście, dziwy swoje pokazując nie tylko na scenie, ponieważ formuła tego wydarzenia ciągle się poszerza i dziś jest już prawdziwie interdyscyplinarna (prezentacje teatralne, sztuki wizualne, performance, muzyka, spotkania, dyskusje, warsztaty).